Diamentowe gody

Marianna i Franciszek Piskorscy z Grodziska w kwietniu obchodzili 60. rocznicę wspólnej małżeńskiej drogi. Pan Franciszek wspomina, że na ślubie w 1957 roku było zaledwie kilkanaście osób. Teraz, na ich diamentowe gody przyjechało ponad pięćdziesiąt. A to znaczy, że rodzina się powiększyła, że przybyło zięciów, synowych, wnuków, prawnuków. Tylko tych najbliższych jest 35. Wszyscy oczywiście świętowali uroczystość rodziców i dziadków. Uczestniczyli w mszy świętej, składali życzenia, bawili się na przyjęciu. Było naprawdę serdecznie i wesoło.

A my odwiedziliśmy jubilatów już po uroczystości. Rozmawialiśmy o ich życiu, o pracy, o wychowaniu dzieci. I o większych i małych radościach.

Zarówno pani Marianna, jak i pan Franciszek urodzili się w Sulejewie, niedaleko Górki Duchownej. Byli rówieśnikami, więc trafili do tej samej klasy w szkole. Mieszkali w sąsiednich domach, znali się od zawsze. Po latach z uśmiechem mówią, że nie musieli szukać miłości daleko. Po prostu była tuż obok. A po szkole obydwoje trafili do pracy w Spółdzielni Produkcyjnej. Pan Franciszek do obory, pani Marianna w pole. Tak swoją zawodową drogę zaczynało wielu młodych ludzi na wsi. W Sulejewie nie było innego zakładu, wszyscy szli do spółdzielni. A kiedy w rodzinie było dużo dzieci, pracę rozpoczynali bardzo wcześnie. Pani Marianna miała dziesięcioro rodzeństwa, do lżejszych prac zatrudniano ją gdy miała zaledwie piętnaście lat. I tak już zostało, jak tylko było trzeba pracowała w polu. A potem pomagała też mężowi w oborze.

Bo pan Franciszek całe swoje życie był oborowym. Jeszcze jako kawaler pracował w oborze w sulejewskiej spółdzielni. Potem przez dwa lata służył w wojsku, a tak naprawdę pracował w kopalni. Po powrocie znowu trafił do obory. Wspomina, że praca była ciężka. Wszystko robiło się ręcznie, łącznie z dojeniem krów. Na swoją zmianę wychodził o czwartej rano, także w niedziele i święta. O dniach wolnych nikt wtedy nie mówił.

Młodzi wzięli ślub 22 kwietnia 1957 roku w kościele w Goniembicach. Zaraz dostali niewielkie mieszkanie w tak zwanych "koszarach". Byli więc na swoim, uprawiali działkę, odrabiali dniówki. Tam, w Sulejewie na świat przyszły ich trzy córki. Ale po kilku latach znajomy powiedział im o Grodzisku. Mówił, że spółdzielnia ma tam lepsze mieszkania dla pracowników i że jest praca w gospodarstwie. Zdecydowali się więc na przeprowadzkę. To było w 1964 roku. Odtąd mieszkają w tej wsi, choć zdążyli zmienić mieszkanie. Najpierw żyli, podobnie jak w Sulejewie, w "koszarach". A później już w bloku, który stawiała spółdzielnia. Sami dowozili materiały na budowę. W tym mieszkaniu są do dziś. Przez lata mieszkała z nimi mama pana Franciszka. Tutaj urodził się jeszcze syn jubilatów. Stąd dzieci jeździły do szkół do Leszna, wychodziły z domu. Tutaj biegło całe ich wspólne życie.

Kiedy pytamy panią Mariannę i pana Franciszka jaka była ich codzienność, mówią, że zwyczajna. Przede wszystkim pracowita. Pan Franciszek przez ponad 40 lat chodził do obory. Pamięta jak żona, a potem i córka przychodziły pomagać mu przy dojeniu krów. Jak zamontowano pierwsze dojarki, jak spółdzielnia kupowała maszyny. Dzisiejsza praca w rolnictwie nie ma nic wspólnego z tamtą harówką. Wtedy całe rodziny pracowały na tę swoją spółdzielczą pensję. Wszystkie kobiety chodziły do pracy dorywczej, wszyscy przy domu hodowali świnie, kury, kaczki. Każdy uprawiał ogród, z którego były warzywa i owoce. Nie było innej codzienności na wsi. Jubilaci wspominają, że tylko niekiedy chodzili do objazdowego kina albo wyjeżdżali na wycieczkę organizowaną przez spółdzielnię. Pan Franciszek od zawsze lubił też kibicować żużlowcom.

Dzieci państwa Piskorskich mówią, że tata nigdy nie miał czasu wolnego. Po pracy w garażu naprawiał łopaty, grabie, robił miotły. Po prostu majsterkował. A mama często robiła na drutach - szale, czapki, swetry. No i pielęgnowała ogródek. Zawsze musiał być "wygłaskany". Jeszcze kilka lat temu rodzice pracowali w ogrodzie. Teraz już tylko tam odpoczywają.

Jubilaci wychowali czwórkę dzieci. Wszystkie zdobyły zawody. Córki ukończyły klasy krawiecką, kucharską, wikliniarską, syn jest rzeźnikiem. Każdy z nich założył rodzinę. Szczęśliwie wszystkie córki pozostały w Grodzisku. Jedna mieszka tuż obok rodziców, dwie w blokach, w drugiej części wsi. Syn przeprowadził się do Łęki Małej. A dziadkowie doczekali się ósemki wnucząt. Najstarsza wnuczka ma 40 lat, a najmłodszy wnuk 28 lat. Kiedy dzieci wyprowadziły się z domu, państwo Piskorscy mieszkali przez 20 lat sami. Ale bliscy byli u nich prawie codziennie. W końcu mieszkają jakby za płotem. Nigdy nie było więc problemu, by im pomóc czy urządzić święta albo uroczystość. Od kilku lat organizują wspólne dla całej rodziny imieniny dziadków. Zawsze w lokalu, zawsze z muzyką. Cieszą się nimi wszyscy. A rodzinki przybywa, bo na świat przyszło już 11 prawnucząt. Dziadkowie uczestniczą we wszystkich chrzcinach, komuniach świętych, weselach. Trochę się tego uzbierało.

Dziś państwo Piskorscy mieszkają z wnuczką, jej mężem i dwójką prawnucząt. Pani Marianna trochę jeszcze pomaga w kuchni, zrobi śniadanie, odwiedza córkę. Pan Franciszek, gdy jest pogoda schodzi do ogrodu, na podwórze. Razem oglądają telewizję, odpoczywają. Mają już 83 lata, więc zdrowie także trochę im "szwankuje". Pan Franciszek słabo słyszy, trudniej się porusza. Pani Marianna ma problemy z sercem. Ale na szczęście sami mogą wszystko zrobić wokół siebie, są sprawni. I to cieszy rodzinę najbardziej. Z radością uczestniczyli w ich diamentowych godach.

A my, od redakcji i naszych czytelników życzymy państwu Piskorskim, aby takich rocznic przeżyli jeszcze wiele. Aby dopisywało im zdrowie i aby zawsze otoczeni byli miłością bliskich. Szczerze na to zasłużyli. A na zdjęciach pokazujemy dwa wesela - to sprzed 60 lat i dzisiejsze.